

Co to znaczy być Polakiem?

To nie Car nadał Polakom wolność siadając przy okrągłym stole z Polakami - tylko, że to Polacy sami sobie to wywalczyli ofiarą kilku cykli powstań, konspiracji czy pracy organicznej - przeczytaj rozmowę z prof. Andrzejem Nowakiem - historykiem, koordynatorem sekcji "Kultura, tożsamość narodowa, polityka historyczna" w Narodowej Radzie Rozwoju przy Prezydencie RP



To nie Car nadał Polakom wolność siadając przy okrągłym stole z Polakami - tylko, że to Polacy sami sobie to wywalczyli ofiarą kilku cykli powstań, konspiracji czy pracy organicznej - przeczytaj rozmowę z prof. Andrzejem Nowakiem - historykiem, koordynatorem sekcji "Kultura, tożsamość narodowa, polityka historyczna" w Narodowej Radzie Rozwoju przy Prezydencie RP

Jan Czerniecki (Teologia Polityczna): Chciałem Pana zapytać o czasy II Rzeczypospolitej. Co możemy uznać za główne czynniki, które pomagały wzrastać pokoleniu Kolumbów, któremu przyszło zmierzyć się z doświadczeniem obydwu totalitaryzmów. Czy można powiedzieć, że najważniejszą rolę pełniły Kościół i państwo w budowaniu patriotycznej postawy, czy raczej kultura była głównym czynnikiem budującym patriotyzm?

Prof. Andrzej Nowak: Wydaje mi się, że kluczowa była żywa a jednocześnie podtrzymywana instytucjonalnie (włączając zarówno państwo i Kościół) pamięć zwycięskiego wysiłku, który przywrócił Polsce niepodległość: pamięć-przekonanie, że sobie ją zawdzięczamy. Jeśli idzie o pokolenie Kolumbów, o którym Pan wspomniał, to mieli oni poczucie, że Polska zawdzięcza wolność i niepodległość pokoleniu ich rodziców, które broniło Polski w 1920 roku; które wyszło, symbolicznie rzecz ujmując, z Legionami z Oleandrów.

Niezależnie od tego, jak bardzo został powiększony ten mit własnego udziału Polaków w obudowaniu niepodległości, to poczucie sukcesu i jednocześnie zobowiązania było bardzo silne i bardzo żywe. Nie przyjmowaliśmy do wiadomości jako naród tezy, jakoby oto ktoś z zewnątrz przyniósł niepodległość czy państwo polskie na tacy, że zostaliśmy wyzwoleni z łaski wcześniejszych panów. To nie Car nadał Polakom wolność siadając przy okrągłym stole z Polakami - tylko, że to Polacy sami sobie to wywalczyli ofiarą kilku cykli powstań, konspiracji czy pracy organicznej. To wszystko razem – bo nie chodzi tu wyłącznie o wybór jedynie etosu powstańczego, ten olbrzymi wysiłek, który wyrażał się w bardzo różnej formie, przyniósł coś wręcz świętego: niepodległość, własne państwo, wyzwolenie spod obcej władzy. To

poczucie, że odbudowane państwo polskie jest nasze, było niesłuchanie ważne i to jest ogromna różnica w stosunku do dzisiejszego państwa polskiego.

Można powiedzieć, że II Rzeczpospolita ma dość wyraźny mit założycielski. Mimo, że składało się na niego kilka wydarzeń: moment przyjazdu Piłsudskiego do Warszawy, czy właśnie wojna z bolszewikami. Były to jednak swoiste kamienie milowe, które budowały państwo. Z III Rzeczpospolitą było nieco inaczej. Moment, który może stanowić mit założycielski jest niewyraźny. Przez dłuższy czas stawiano na Okrągły Stół, później jednak przyjęto za ten moment 4 czerwca, ale *de facto* III Rzeczpospolita ma problem ze swoim początkiem.

Nie bardzo to pojęcie – mit założycielski – mi odpowiada, nie wydaje się ono odzwierciedlać rzeczywistych struktur pamięci ludzi II Rzeczpospolitej. Polacy mieli głęboko zakorzenione we własnej pamięci doświadczenie rodzinnej i osobistej pamięci udziału w walce lub pracy na rzecz polskiej niepodległości. Choćby to, że milion żołnierzy musiało stanąć do walki w obronie Polski w 1920 roku. Milion żołnierzy – musimy to pomnożyć razy kilka przynajmniej osób, członków rodzin – i już mamy kilkumilionową społeczność – ludzi, którzy mają w swojej najbliższej rodzinie doświadczenie udziału w walce o niepodległość, bardzo poważnie przeżyta.

Oczywiście, wojna jest trudnym doświadczeniem, ale skala dezercji czy skala, powiedziałbym, lekceważenia problemu niepodległości była jednak nieduża. A zatem, dla ogromnej większości tych, którzy przeszli to doświadczenie, było to doświadczenie czegoś wzniosłego a nie

śmiesznego, ani też wyłącznie okropnego, od czego należy tylko uciekać. Wzniosłego i realnego jednocześnie – a więc dlatego nie mit, bo to było doświadczenie rzeczywiste dla kilku milionów osób co najmniej.

Natomiast również doświadczeniem rzeczywistym dla nas, w III RP, jest to doświadczenie, że moment przejścia od poprzedniego sytemu do nowej Polski został rozmyty, że jakby podkreślano na każdym kroku, że jest to przejście ewolucyjne. Okrągły Stół jest opowiedziany w taki sposób, że dostaliśmy wolność z łaski właściciela PRL - generała Jaruzelskiego i jego zastępcy generała Kiszczaka. To oni mieli stać się naszymi dobroczyńcami i powinniśmy być im wdzięczni i uważać ich za ludzi honoru. To założenie odbierało godność społeczeństwu polskiemu, godność obywatelom Polski. Bo kiedy jest się wyzwoleniec – nie jest się pełnoprawnym obywatelem. A jednak zostaliśmy wyzwolencami z łaski PRL-owskich panów i przyjęliśmy ten status. Oczywiście nie wszyscy chcieli to zaakceptować, niektórzy się buntowali. Tacy ludzie jak choćby Kornel Morawiecki - nie chcieli w tym procederze „wyzwolenstwa” uczestniczyć. Inni z kolei chcieli „ograć” dawnych włodarzy, podejmując z nimi rozmowy, ale nie burząc formalnie kontraktu i tego ewolucyjnego przejścia.

Stąd u ogromnej większości naszych współobywateli, u ogromnej większości z nas jest to doświadczenie, że mamy do czynienia z transformacją, z jakimiś przemianami, których nie wiadomo czy to Michaił Gorbaczow powinien być osobą, której powinniśmy być wdzięczni, czy może gen. Jaruzelski. Owszem, część z nas pamięta zasługę Jana Pawła II, Solidarności, ale inni mówią: skądże, to nie miało realnego znaczenia. A przede wszystkim mówią nam od 1989 roku, że historia nie ma znaczenia, że nie należy oglądać się w

przeszłość, że należy wybrać przyszłość, że żyjemy tylko tu i teraz. Mówiono nam: zostawmy historyczne sprawy, porachunki – historykom, takim w zakurzonych zaręczawkach, którzy grzebią się w tym kurzu teczek i archiwalnych spraw. A my żyjemy nowymi sprawami, niech nie obchodzi nas to, co było wcześniej. W ten sposób wyzbywamy się tego poczucia zobowiązania wobec poprzednich pokoleń, a wdzięczność mamy oddawać generałowi Jaruzelskiemu i generałowi Kiszczakowi, wobec tych, których wskaże przeważający w danym dniu „przekaz medialny”.

Chciałem powrócić jeszcze do II Rzeczypospolitej, która niewątpliwie z sukcesem wychowała niezwykle pokolenie w naszej historii, mówię o tym pokoleniu Kolumbów. Chciałem zapytać Pana Profesora jak wyglądało wychowanie w rodzinie. Pytam się o paideę, wychowanie do bycia dobrym obywatelem i patriotą. Pamiętam, że Pan był też sygnatariuszem apelu, który wzywał do nie wycofywania lekcji historii. Oczywiście, wiedza historyczna bardzo pomaga wiedzieć skąd przychodzimy, ale czy lekcje historii wystarczą, czy należałoby jeszcze starać się, aby całościowo kultura pomagała umacniać ideę patriotyzmu? Wydaje mi się, że w II Rzeczypospolitej to było bardzo silne poczucie - bez dywagacji czy warto w razie wojny wyjechać, aby nie bronić Ojczyzny. Dzisiaj takie „rozterki” słychać coraz częściej.

Sądzę, że te kategorie myślenia, które Pan opisuje jako współczesne, też się zmieniają, starzeją, odchodzą w przeszłość. Oczywiście kierunku tych zmian nie przewidzimy całkowicie, ale mam wrażenie, że odchodzimy stopniowo od takiego przeświadczenia, że Historia się skończyła, że nie wiążą nas ze wspólnotą żadne obowiązki. Mam wrażenie, że mamy dzisiaj raczej do czynienia z końcem „końca

Historii”, także w odbiorze szerszym - społecznym, nie tylko w refleksji garstki krytyków Francisa Fukuyamy. Przekonujemy się, że historia się nie skończyła, narody się nie skończyły, państwa się nie skończyły.

Wracając do Pańskiego pytania. Użył Pan takiego przeciwstawienia, że kiedyś, w II Rzeczypospolitej patriotyzm był budowany skutecznie, a teraz nie, bo właśnie już inaczej się myśli o obowiązkach wobec wspólnoty, a właściwie w ogóle się o nich nie myśli, co więcej - nie myśli się o żadnej wspólnoty. Sądzę, że ta druga, aktualna część owego przeciwstawienia jest być może niestabilna. Nie jestem jej pewny. Natomiast rzeczywiście, myślę, że w II Rzeczypospolitej najważniejszym założeniem towarzyszącym sukcesowi edukacji patriotycznej – bo o sukces i jego tajemnicę Pan pyta – było to założenie, które wynikało z całej kultury, otoczenia edukacji właściwej, wąsko rozumianej, szkolnej przez kulturą masową, zarówno tą popularną jak i tą wyższą z której emanowało przeświadczenie, że czymś najwspanialszym i najgodniejszym, co może zdarzyć się człowiekowi, jest bycie Polakiem.

Awansować do roli Polaka, to coś najwspanialszego. A mówimy o awansie, bo pamiętajmy, że społeczeństwo II Rzeczypospolitej było to społeczeństwo w ogromnej mierze chłopskie, w którym niemała część współobywateli dochodziła do świadomości polskiej, narodowej, patriotycznej, ze stanu świadomości przednarodowej. To był wiek nacjonalizmów, czy okres patriotyzmów. Czas umacniania się narodowych struktur świadomości, nie tylko w Polsce. W II Rzeczypospolitej stało się to na tle kultury romantycznej, umocnionej na nowo na początku XX wieku, powrotem do romantycznych wzorów i oczywiście – w pewnym sensie – dyskutowanym i przeformułowanym. Niemniej jednak, romantyzm raz jeszcze uzyskał swoje umocnienie z dzieł Sienkiewicza, czy – z drugiej strony – Wyspiańskiego. Polskość,

która trwała w owych romantycznych wzorach w okresie bezpieczeństwa, ostatecznie odniosła zwycięstwo: odzyskała państwo. To wszystko umacniało przekonanie, że polskość jest czymś wspaniałym, czymś wielkim: skoro mieliśmy Mickiewicza i Wyspiańskiego, mamy Piłsudskiego czy mamy Dmowskiego (a warto zauważyć, że nawet jeżeli Dmowski skrajnie ostro krytykował wzorce romantyczne, to w oparciu o poczucie znaczenia polskości – polskość w jego ujęciu jest tak ważnym zadaniem, że trzeba poświęcić wszystkie, siły żeby to zadanie zrealizować).

Brzozowski wychodził z innych pozycji, ale mówił o tym samym. Jemu zależało na tym, żeby Polska była wyjątkowa i żeby sobie zawdzięczała tę wyjątkowość, chociaż dzisiaj Brzozowskiego bardzo często się przywołuje jako krytyka polskości. Jest wyciągany na sztandary lewicy, która za zadanie stawia sobie *de facto* polskość przkroczyć - dostosować do jakiejś enigmatycznej „europejskości”. Jednak, gdy przyjrzymy się dziełom Brzozowskiego to walczył on mocno o naród polski. Jego krytyka jest tą, która wychodzi z wewnątrz wspólnoty, a nie z zewnątrz.

Oczywiście, zgoda co do Brzozowskiego. Można by przytoczyć inne przykłady, ale ten jest bardzo wyrazisty, tyle tylko, że Brzozowski nie był tak ważnym punktem identyfikacji dla setek tysięcy. Dla elit jest oczywiście ważnym punktem odniesienia i tutaj całkowicie zgadzam się z Pana interpretacją. Na poparcie tej tezy można przytoczyć największy autorytet w dziedzinie studiów nad Brzozowskim – niesłusznie dzisiaj pomijany w dyskusjach o dziedzictwie autora *Płomieni* – mam na myśli studia Andrzeja Walickiego. Gdzież tam

dzisiejszym, powiedziałbym, skrajnie powierzchownym interpretatorom z Krytyki Politycznej do warsztatu naukowego i rzetelności tego historyka idei...

Natomiast wróćmy teraz od II Rzeczypospolitej, przejdźmy do czasów ostatnich dwudziestu kilku lat. Jeżeli w II Rzeczypospolitej wszechogarniające, silne było to poczucie, że awansowanie do roli bycia Polakiem, było największym zadaniem i największym sukcesem jednocześnie, to musimy przypomnieć, że rozumienie owego awansu rozgrywało się w zderzeniu z innymi tożsamościami narodowymi wielonarodowej Rzeczypospolitej, w sytuacji poważnych konfliktów etnicznych. Zostawiamy to jednak na marginesie naszej dyskusji, bowiem tu chodzi nam o kontrast wyobrażeń z II Rzeczypospolitej, przeżywanych i tworzonych w kręgu kultury i świadomości narodowej polskiej – ze świadomością końca XX wieku, także oczywiście w kręgu społeczeństwa polskiego.

Myślę, że to co się zmieniło radykalnie to przekonanie, że kultura masowa niosła od końca lat 1980. ten przekaz: polskość jest bylejakością. Polskość jest garbem, który trzeba raczej odciąć, żeby się wyzwolić. To podpowiadała kultura elit całej cywilizacji zachodniej – należało się wyzwalać z kolejnych więzów - szczególnie narodowych. To nie dotyczyło tylko Polski, ale u nas nakładał się na to kompleks, typowo postkolonialny, który budujemy sobie od XVIII wieku: normalność jest gdzie indziej i my musimy do niej dorosnąć, rezygnując z polskości. W II Rzeczypospolitej być może u części elit społecznych było te przecucie obecne, ale było ono wówczas mało skuteczne.

Przekonanie to zaczęło być dominujące głównie dzięki przekazowi „Gazety Wyborczej”, dzięki przekazowi wtórujących jej mediów elektronicznych. Ta idea miała także swoich narratorów w kręgu elit politycznych i intelektualnych, takich jak Donald Tusk „polskość to nienormalność”), jak Marcin Król, jak Władysław Bartoszewski (Polska – stara, brzydka panna bez posagu). Wskazywano widoczny, bliski horyzont tej normalności, to znaczy: Europę. Wejdziemy do Europy, porzucimy Polskę i w końcu zostaniemy Europejczykami. Oczywiście, Europejczykami z prowincji, takimi „trochę gorszymi Europejczykami”, ale trudno, lepiej być gorszym Europejczykiem niż najlepszym Polakiem. Takie było założenie. I myślę, że ono było społecznie skuteczne najdalej do 2015 roku. Sądzę, że obecnie się to założenie przełamuje. Oczywiście, bardzo trudno to ocenić, być może za rok, dwa, czy za dziesięć będzie można sfalsyfikować moje słowa. Teraz jednak poczucie, że Europa Zachodnia jest lepsza, mądrzejsza, że tam żyją jacyś wspanialszy ludzie, których powinniśmy słuchać i naśladować, kiedy nas pouczają – to poczucie ulega teraz bardzo gwałtownej erozji. Głównie w zderzeniu z problemem wychodźców i decyzjami politycznymi podejmowanymi w tej sprawie przez odpowiedzialnych polityków Zachodu. Decyzje te okazują się skrajnie nieracjonalne, szaleńczo zideologizowane – i tego nie da się już zakryć żadnym mitem „mądrzejszego Zachodu”. Krótko mówiąc, zaczynamy się leczyć jako społeczeństwo z kompleksu postkolonialnego. Okazuje się, że awans do roli pana Junckera czy Verhofstadta jest marzeniem jakiejś bardzo wąskiej grupki ludzi. Ogromna większość społeczeństwa polskiego już się nie chce wyzwalać z polskości do tego właśnie wyimaginowanego, lepszego świata Europy Zachodniej. Oczywiście, powodem tutaj jest na pewno nie tylko kwestia imigrantów, ale to jest test, papierek lakmusowy, który ujawnia, że ta Europa zachodnia nie ma się lepiej od

nas, gdy idzie o stan politycznych elit, o stan debaty publicznej, wolności słowa, stan zdrowego rozsądku – i nie we wszystkim na pewno należy ją naśladować.

Mówi Pan, że teraz zaczyna się przełamywać. Zastanawiam się, czy erozja narracji, o której Pan mówił, nie zaczęła się kruszyć gdzieś w okolicach czasu powstania Muzeum Powstania Warszawskiego, czy nieco wcześniej IPN-u. Są instytucje, które zaczęły budować na nowo tożsamość Polaków. To są takie momenty, w których Polacy zaczęli czuć się na nowo wspólnotą, mogli się odwoływać do pewnej swojej chlubnej historii, która zaczęła ich konstytuować na nowo. Czy możemy mówić o takim procesie?

Kiedy wspomniałem o 2015 roku to miałem wrażenie, że to jest punkt, w którym zaczynamy dostrzegać pewien proces, a proces ten zaczął się naturalnie wcześniej. Teraz dostrzegamy jego konsekwencje w skali społecznej. Widzimy już w tej skali, że szantaż tego typu: „co sobie o nas pomyślą na salonach zachodnich” – szantaż, który był bardzo skuteczny jeszcze 5- 7 lat temu – działa dużo słabiej, z każdym miesiącem coraz słabiej. Tylko dlatego powiedziałem, że teraz to zjawisko można to zobaczyć.

Moje pytanie jest o rolę kultury wspólnototwórczej. Zaczynamy definiować swoją tożsamość na nowo. Początki III Rzeczypospolitej były dla nas trudne, nie było ani mitu założycielskiego, który tę wspólnotę by konstytuował. Była za to obecna narracja, że historię należy zostawić historykom. Dariusz Gawin opisywał nasze państwo jako zimną demokrację, która nie ma właściwie nic, co

pozwalaloby Polakom poczuć się u siebie. Obchody 60. rocznicy Powstania Warszawskiego, zorganizowane przez Lecha Kaczyńskiego, pokazały, że Polacy potrafią się jednoczyć wokół takich rocznic i sięgać do swojej tożsamości, która do tej pory była pomijana, niechciana. Moje pytanie jest więc o rolę kultury w budowaniu naszej wspólnoty polskiej.

Cóż, sądzę, że ta kultura jest tutaj czynnikiem ważnym, choć nie jedynym i nie wiem czy najważniejszym, bo przed kulturą jest jeszcze jej punkt styczny z wiarą - z religijną tożsamością polską. Wydawało się, że Jan Paweł II sieje pod wiatr swoje słowa, mówiąc w czasie kolejnych pielgrzymek już do wolnej Polski o znaczeniu tożsamości, pamięci o tradycji. Wtedy wydawała się triumfować przeciwna jego słowom narracja, że to jest przeżytek, że „papież przestał rozumieć Polaków”, jak pisał m.in. ówczesny redaktor naczelny miesięcznika „Znak”, dzisiaj na pewno inaczej myślący pan premier Jarosław Gowin.

Dużo ostrzej formułowali tę samą myśl autorzy „Gazety Wyborczej”, że papież to taki reakcyjny staruszek, który przestał rozumieć współczesne czasy i żyje w wymagowanym świecie przeszłości. Tymczasem sądzę, że słowa pielgrzymek św. Jana Pawła zostały gdzieś w nas. One wzrastają w jakiejś ciszy, tajemnicy, w kręgu rodzinnym, w kręgu indywidualnych przemyśleń, wyobrażeń i - używając tej wyświechtanej, ogrodniczej metafory - rozkwitają po latach. To nie jest tak, że te słowa zostały gdzieś na gołej skale i zdmuchnął je wiatr „końca Historii”. One przypominały o tym, co jest oczywiście większe i ważniejsze od samego św. Jana Pawła II: o polskiej tradycji i jej związku z chrześcijaństwem, o jej wspaniałym, twórczym związku z chrześcijaństwem i wynikającym stąd zobowiązaniu, zarówno wewnętrznym jak i misyjnym. Bo to właśnie nabudowuje się na

wielowiekową kulturę Polaków, w której centrum jest taka właśnie wizja polskości, od czasów mistrza Wincentego Kadłubka do wielkiej kultury romantycznej, której ostatnim wybitnym przedstawicielem jest Papież Polak.

Obok tego najważniejszego, moim zdaniem, zjawiska, które przygotowywało ową zmianę, o którą Pan pyta, zjawiska, którym były pielgrzymki Jana Pawła II i jego nauczanie skierowane do Polaków i jego modlitwy za Polskę, oczywiście mogę wskazać kilka innych, mniejszych, także ważnych. Chociażby ogromne znaczenie choćby twórczości Jarosława Marka Rymkiewicza, który budził świadomość wielkości Polski, szarpiąc naszą wyobraźnię historyczną przypomnianiem kulturowych wyobrażeń związanych z tym, jak ważna jest Polska, co wynika z jej dziedzictwa historycznego. Tutaj niewątpliwie Rymkiewicz odegrał niezwykle ważną rolę budziela debaty o polskości jako wielkim zadaniu, jako wielkim wyzwaniu. Oczywiście były także inne mniejsze środowiska, które budowały małe instytucje. To było środowisko „Arcanów,” później doszły inne środowiska w Warszawie: „Frona” i w końcu „Teologia Polityczna”. Można by sprowadzić ich znaczenie do swego rodzaju cieplarni, w których dojrzewały (albo też przechowane zostały) zalążki idei i postaw, które potem mogły być już na masową skalę rozwinąć się w całym społeczeństwie.

Oczywiście, sędzę, że połączenie tych różnych czynników, z których największe znaczenie, podkreślam, m to ukryte działanie słów św. Jana Pawła II. To wszystko skumulowało się właśnie około roku 2004/2005 przy wspaniałej działalności prezydenta Lecha Kaczyńskiego i innych osób, które towarzyszyły mu w tym zakresie. To wzmocnienie właśnie instytucjonalnym filarem – wspominał Pan Muzeum Powstania

Warszawskiego, wspomniał Pan wcześniejszą funkcję Instytutu Pamięci Narodowej, która zwłaszcza w momencie, kiedy prezesem Instytutu był Janusz Kurtyka, czyli w latach 2005-2010 – to wszystko odgrywało zbiorową rolę, jeżeli można tak powiedzieć, rekonstruktora polskiej świadomości historycznej.

To właśnie przygotowywało ów proces, którego skutki dostrzegamy teraz. Z takim zdumieniem mogliśmy obserwować gigantyczny sukces oddolny pamięci o żołnierzach wyklętych. To było przecież wielkie zaskoczenie. Jak to? Dlaczego? Przecież państwo Tuska-Komorowskiego-Palikota-Michnika nie wspierało tej pamięci, a nagle okazało się, że dziesiątki tysięcy młodych ludzi w całym kraju z własnej woli chce czcić pamięć ludzi, o których nikt nie pamiętał, o których pamięć była wcześniej, przez pół wieku, zakazana.

Otóż to się nie wzięło znikąd, to się wzięło z tej przechowywanej w ukryciu wdzięczności i poczucia zobowiązania, które oczywiście ożywiały nie tylko słowa Jana Pawła II. Solidarność jest także takim ukrytym, a owocującym stopniowo, w cichości dziedzictwem. To, że 10 milionów ludzi było w Solidarności, a choćby milion z nich przeżył to uczestnictwo aktywnie, w poczuciu jakiejś misji patriotycznej – to sprawia, że w kilkuset tysiącach, a może nawet milionie polskich rodzin ta pamięć funkcjonuje jako żywa, nie archiwalna, ale rodzinna właśnie. Nawet jeżeli Solidarność była spychana na margines przez reformy Balcerowicza, które mówiły wielkim głosem „robole zrobili swoje, robole mogą odejść”.

Mamy poczucie rozgoryczenia odsunięciem tej zasługi i znaczenia Solidarności, poczucie konfuzji wywołane straszną rolą Lecha Wałęsy, który trzymając się podsuniętej mu roli wyłącznego symbolu Solidarności paraliżował możliwość odwołania się do czystych ideałów i rzeczywistego znaczenia tego ruchu. Gdyby Anna Walentynowicz była na sztandarze Solidarności, czy Alina Pieńkowska (zepchnięta w cień przez swojego męża, Bogdana Borusewicza), czyli prawdziwe bohaterki wielkiego strajku Sierpniowego, były symbolami pokazywanymi w mediach jako rzeczywisty układ odniesienia dla etosu Solidarności, to myślę, że to dziedzictwo byłoby dużo bardziej skuteczne i szybsze w odbudowie czy w umacnianiu polskiej świadomości patriotycznej i poczucia tego, że polskość jest czymś najwspanialszym. A poprzez to podstawienie do roli wyłącznego symbolu ruchu chytrego cwaniaka, który ciągle kłamie, kluczy – mamy pewną konfuzję: czy polskość jest taka wspaniała, wielka, czy właśnie to jest symbol Solidarności, Lech Wałęsa, który kłamie i kluczy, czy to jest istota polskości? Od wyboru sposobu przedstawienia Solidarności zależy kształt naszego patriotyzmu, czy to ma być patriotyzm odwołujący się do wzniosłych przykładów, podnoszący nas w górę, czy ma to być „patriotyzm” przekonujący nas o tym, że nasi rodzice to takie właśnie cwaniaki jak Wałęsa. Że to jest nasz poziom i kwita. Reszta, co lepsze – jest w „Europie”.

Jest Pan koordynatorem sekcji ds. polityki historycznej przy Prezydencie w Narodowej Radzie Rozwoju. Chciałem zapytać o politykę historyczną kierowaną na zewnątrz. Jest powszechny konsensus, że powinniśmy wspierać wszystkie nasze najważniejsze wydarzenia i umieć je opowiadać na zewnątrz. Co ciekawe, mamy dokładnie sprzeczną z naszą narracją ze strony Niemiec. My mamy Solidarność, oni mają, mur berliński, który

stał się symbolem przemian w Europie Środkowo-Wschodniej. Podobnie zaczyna się rozmiękczać czas II wojny światowej. W Niemczech dostrzegalny jest proces niuansowania ich odpowiedzialności. Właściwie zaczyna się opowiadać II wojnę światową jako ogólnoeuropejski kryzys, który właściwie nie miał twarzy żadnego narodu. Nasze doświadczenie jest zupełnie inne. Jak powinniśmy opowiadać naszą historię i do wewnątrz, ale i na zewnątrz, żeby pokazywać, że Polska ma bardzo mocne doświadczenie zmiżdżenia przez oba totalitaryzmy, o czym się w ogóle zresztą nie pamięta. Jak możemy to zmieniać, jak przeciwstawiać się narracjom, które są zupełnie sprzeczne z tą, którą my mamy?

Nie przeciwstawiać się, broń Boże, ale tworzyć własną narrację. Najgorzej jest, kiedy jesteśmy tylko reaktywni. Oczywiście, wiadomo, że trzeba prostować kłamstwa, trzeba wspierać działania prawne, które postawią przed sądem tych, którzy konsekwentnie szerzą kłamstwa o „polskich obozach zagłady”. Żadna zmiana prawa w Polsce tego nie załatwi - trzeba po prostu płacić najlepszym kancelariom prawnym w Niemczech, w Stanach Zjednoczonych, żeby wyplenić tego rodzaju złe, tendencyjne, świadomie realizowane nawyki sprzeczne z prawdą historyczną.

Niemniej główny nurt naszej pracy w dziedzinie świadomości historycznej powinien iść zupełnie innym torem. Nie takim, jaki podyktują kłamstwa i wysiłki tych, którzy chcą oczerniać Polskę, ale takim, który my sami wybierzemy, który wynika z naszej historii. Ciekawym polem do dyskusji nad tymi zagadnieniami było posiedzenie plenarne Narodowej Rady Rozwoju w lutym tego roku, gdzie głównymi mówcami byli pani Elżbieta Cherezińska i pan Adam Zamojski. Pan

Zamoyski zwrócił uwagę na fakt, że w odniesieniu do zewnętrznych odbiorców nie należy skupiać się na aspekcie, który można by streścić Mrożkową szczerbatą skargą: „wybili, Panie, za wolność wybili zęby”. To znaczy nie należy pokazywać tylko swoich ofiar, swoich strat. Choć w całości tej rady nie mogę przyjąć, bowiem uważam, że mamy obowiązek moralny wobec tych ofiar, które nie są pamiętane przede wszystkim przez nas samych, a po drugie, których wielkość, skala, znaczenie w historii totalitaryzmów XX wieku jest niedoceniona, a powinna być w takim, ponadpolskim kontekście umieszczona. Dlatego upominam się zwłaszcza o wprowadzenie do pamięci polskiej i światowej pamięci przestrogi przed totalitaryzmami ofiar największej zbrodni ludobójstwa dokonanej na Polakach przed II wojną światową. Mam na myśli tzw. operację polską NKWD: 111091 osób rozstrzelanych na podstawie jednego rozkazu. Tylko za to, że byli Polakami. To jest istotny wstęp do Holokaustu. Nie wolno o tym zapominać. Musimy o tym przypominać różnymi środkami kultury masowej, pamięci historycznej, pomników i tak dalej.

Wracając do uwagi Adama Zamoyskiego, zgadzam się jednak, że należy bardziej eksponować to, co pokazuje siłę polskości, jej zdolności przyciągania innych. W tym samym duchu zresztą wypowiadała się pani Elżbieta Cherezińska, dając za przykład świadomość młodych Duńczyków. Mają oni w sobie świadomość dziedziców Wikingów, którzy są zdobywcami świata. Oczywiście, nasze dziedzictwo jest inne niż dziedzictwo wikińskie, ale myślę, że jak najbardziej należy potraktować serio radę, by szukać takich punktów siły, momentów siły polskości. Niekoniecznie fizycznej, chociaż i takie punkty można wskazać, patrząc wstecz choćby w czasy Bolesława Chrobrego, Jana III Sobieskiego, czy Józefa Piłsudskiego – mam tu na myśli zwycięstwa militarne w kluczowych dla Europy, a nie tylko dla Polski momentach. Ważne jest także poczucie siły duchowej. Możemy pokazywać gigantów ducha i

umysłu polskiego. Wyobrażam sobie serię filmów pokazujących wielkie polskie kobiety, które nierzadko okazywały się mocniejsze w swoich sukcesach naukowych, duchowych, politycznych, od kogokolwiek, kogo można by znaleźć w historii zachodniej Europy. Nie chodzi o film w koprodukcji z Francuzami na francuskie kopyto przerobionej Marii Curie-Skłodowskiej. Warto raczej podkreślić, że ona zdobyła pierwsze szlify swojej pasji naukowej na podziemnych kursach w Warszawie, bo przecież nie było możliwości legalnego pobierania nauki w języku polskim w carskiej Rosji. Pokazać, że już wtedy rozwija się tajne nauczanie, do którego kobiety mają dostęp na poziomie pozwalającym stopniowo rozwinąć skrzydła także przyszłej wielkiej uczonej.

Należy pokazać także giganta polskiego ducha w dziedzinie religijnej, obok świętego Jana Pawła II - siostrę Faustynę Kowalską, popularyzować świadomość kulturowego, patriotycznego (a nie tylko wyłącznie religijnego) znaczenia jej Dzienniczka, niewątpliwie najbardziej popularnej polskiej książki na świecie. Gdziekolwiek jestem, wszędzie widzę wizerunki Chrystusa Miłosiernego. Teraz akurat wróciłem z Nowego Jorku, wziąłem gazetkę w kościele na Wall Street, w kościele pw. Świętego Piotra i tam oczywiście największy artykuł był o kulcie św. Faustyny.

Uświadommy sobie, jakie skarby ducha mamy w postaciach tych wielkich Polek. Takich, jak wspomniana już przeze mnie Anna Walentynowicz i towarzysząca jej w tej obronie strajku Alina Pieńkowska. Pokazać, o ileż to są większe, wspanialsze postaci od Lecha Wałęsy czy kogokolwiek, kto stał gdzieś tam później okragiem na murze berlińskim. Pokazać siłę duchową tego awansu kobiety od prostej pomocy domowej w głębokim PRL-u stalinowskim, do roli symbolu Solidarności – mówię o Annie Walentynowicz. Pokazać to na

tle faktu, że Polki jako czwarta bodaj grupa kobiet w Europie i chyba szósta czy siódma na świecie zdobyły pełne prawa wyborcze, dziesięć lat przed Brytyjkami, dwadzieścia pięć lat przed Francuzkami i chyba pięćdziesiąt kilka lat przed Szwajcarkami. Możemy tego rodzaju aspekty uwypuklić.

Następna sprawa – to elementy poczucia siły Polski jako ważnego, kluczowego kraju regionu Europy Środkowo-Wschodniej. Trzeba pokazywać znaczenie całego tego regionu, który nie jest ani Niemcami, ani Rosją. Pokazać jego znaczenie kulturowe i polityczno-ustrojowe, choćby przez pryzmat historii jagiellońskiej, czterowiekowej, najdłuższej w Europie, polsko-litewskiej wolnej unii narodów, także przez pryzmat dorobku kulturowego całego regionu. Być może, należałoby zabiegać o to wspólnie z innymi krajami Europy Środkowo-Wschodniej, aby stopniowo przełamać ten stereotyp, że są Niemcy, kulturowo ważny kraj, a na wschód od nich jest jeszcze jeden kulturowo ważny kraj - to jest Rosja i nic między Niemcami a Rosją nie ma.

Pokutuje tu postoświeceniowy pogląd, że istnieją tylko Niemcy i Rosja i właściwie wszystko co pomiędzy może być jedynie albo bardziej Niemcami albo bardziej Rosją.

Tak, i to właśnie trzeba zmieniać. Być może należałoby zmieniać to podejście wspólnie z innymi krajami naszego regionu, zwłaszcza, że dzisiaj też wspólnie jesteśmy piętnowani jako ta gorsza Europa, która nie chce rozumieć szaleństwa politycznej poprawności biurokratów z Brukseli narzucających kwoty uchodźców. Mówi się o „ohydnej twarzy Europy Środkowo-Wschodniej”, odmienia się tę rasistowską formułę w stu gazetach Europy Zachodniej i Stanów Zjednoczonych. Myślę, że to

zjawisko wtórnego rasizmu i imperializmu elit kulturowych Europy Zachodniej powinno pobudzić współpracę krajów naszego regionu do wspólnego wysiłku na rzecz pokazania, jakie są tradycje kulturowe, religijne, jakie doświadczenia historyczne naszej części Europy. My nie dzielimy z Europą Zachodnią zbrodni kolonializmu. Naszych rachunków z Ukraińcami, Białorusinami czy Litwinami, nie da się ich porównać z ludobójstwem, jakiego dokonali choćby Belgowie w Afryce, gdzie wymordowali 10 milionów ludzi na początku XX wieku - czy z podobnym doświadczeniem kolonialnym Brytyjczyków, Francuzów, Włochów, Portugalczyków, Hiszpanów, Holendrów, Duńczyków, Niemców. To są różne doświadczenia i trzeba o nich pamiętać, kiedy wzywa nas się do przyjmowania z gościnnością wyznawców islamu. Niezależnie od naszej wspaniałej pamięci i gościnności dla Tatarów, którzy przyjęli polską tożsamość patriotyczną, nie można zapominać o tym, że Polska nie kolonizowała nigdy krajów islamskich, natomiast sama była poddana, razem z Węgrami, intensywnemu naciskowi, ze strony imperium islamskiego, które inne narody naszego regionu skolonizowało. Zatem wzywianie Serbów, Bułgarów, Rumunów czy Polaków do ekspiacji niejako moralnej wobec krajów islamu, jest czymś groteskowym, jeżeli to wezwanie brzmi z ust właśnie Belgów, Holendrów, Francuzów czy Niemców.

Z Prof. Andrzejem Nowakiem rozmawiał Jan Czerniecki

Rozmowę spisał Adam Talarowski